Nr. 14. We Lwowie dnia 6. kwietnia 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z KRAINY ZANIEDBANEJ.

Żaden zakątek ziem dawnej Rzeczypospolitej nie doznał tak dziwnego zapomnienia, jak Spiż, gorszego, niż Szląsk do niedawna: zaciężyła nad nim iście grobowa cisza. Krom poważnej, a lakonicznej notatki Janoty i paru luźnych wzmianek przed nim i potem, najczęściej charakteru romantycznych westchnień historycznych lub turystycznych — nic, absolutnie nic się u nas nie słyszy o tym kraju, chyba, że wyjątek uczynimy dla dwóch z ostatnich paru lat prac poważnych Dr. S. Eljasza*), Tatry bialskie — i Dr. Czołowskiego z powodu sporu o Morskie Oko. Pierwsza wszakże ma wyłącznie charakter nomenklatury orograficznej, druga zaznaczyła wprawdzie dość dosadnie, ale przygodnie i w jednym kierunku dwa momenta natury sporu granicznego: z epoki Łaskich odnośnie do zachodniej granicy i z czasu rozbiorów Polski i zaboru północnej granicy wraz z Sandecczyzną. Całe zresztą dzieje państwowości polskiej na Spiżu i etnicznych tam stosunków, tak z przeszłości, jak teraźniejszości są kartą białą zarówno w literaturze naszej naukowej, jak popularnej — beletrystycznej i publicystycznej. Ztąd nieświadomość lub zamęt pojęć najzupełniejszy.

Dobrze jeszcze, jeśli kto z szerszej publiczności słyszał o tem, że Spiż dostał się Polsce prawem zastawu za pożyczkę 37.000 groszy pragskich, udzieloną przez Jagiełłę królowi Zygmuntowi, a nigdy nie zwróconej. przed tem i potem?

Ciekawa pod tym względem była chęć wywołania sporu naukowego ze strony niemieckiego historjografa Spiżu — Wagnera, słynnego autora Analectów spiskich.

*) Walery zaś Eljasz poświęcił był w jednej ze swych wycieczek wspomnienie Podolińcowi i Lubowli.

Kwestję granic w tych stronach Bolesława Wielkiego v: Chrobrego, posuniętych prawie ku Dunajowi, pomija się milczeniem, bardzo zresztą naturalnem, boć on prawie władał Łużycami i Czechami tak samo czasowo; toć i granica jego południowa cofnęła się rychło bliżej ku Tatrom i Beskidowi. Ale oto kronikarze zaznaczają, że Bolesław Krzywousty, pragnąc utrwalić sojusz polityczny z Kolomanem węgierskim, wydaje córkę swoją Judytę za Stefana, syna kolomanowego, obdarzając ją posagiem Spiżu z tem wszakże, że po śmierci królowej Spiż ma napowrót odejść do Polski. Gdy wszakże po latach paru umiera strona zainteresowana, a Węgrzy wzbraniają się ze zwrotem zapisu, Bolesław idzie na nich wojną Wśród bojów magurskich najemne oddziały ruskie i węgierskie, stanowiące znaczną część armji bolesławowej, zdradzają swego wodza i przechodzą na stronę węgierską. Bolesław przegrywa pierwszą może w życiu swojem bitwę z liczby trzydziestu kilku wygranych; poczem zachorowuje, umiera, a Spiż zostaje przy Węgrzech.

Skoro Bolesław miał możność rozrządzania Spiżem, jako posagiem, snać kraj ten należał do jego dzierżaw polskich.

— Ba! — odpowiada na to Wagner — to być nie może, to był jakiś inny Spiż, którego szukać należy het gdzieś w przemyskiej prefekturze na Pokuciu. (?!)

Po rozerwaniu wszakże związku państwowego z Polską, nie przestał istnieć związek kościelny, i północny Spiż stanowił część integralną dyecezji krakowskiej, ba nawet szmat jeden północno-wschodni z Gniazdą, Podolińcem i Lubowlą należał politycznie do województwa krakowskiego jako *districtus Podoliniensis,* aż i ten traci Polska 1384 r. na rzecz Węgrów.

Związek kościelny wciąż istnieje, choć — co prawda — nominalnie tylko, bo jeszcze na siedmnaście prawie dziesiątek lat przed tem oderwaniem politycznem dystryktu podolinieckiego, za czasów pierwszej burzy tatarskiej, arcybiskup Strzygoński czyni najazd na owo terytorjum i przyłącza do swojej dyecezji. Biskupi krakowscy raz po raz szlą skargi do Rzymu, który począwszy od Grzegorza IX. w 1235 r. bezustannie wysadza komisje śledcze i sądowe. Spór trwa sto lat i wreszcie wyrokiem sądu nie pierwszym wprawdzie, ale bardzo ostrym, nakazuje się 1332 arcybiskupowi strzygońskiemu zwrot spornego terytorjum wraz z wiernymi — dyecezji krakowskiej z opłaceniem grzywny 2.200 za dzierżenie tyluletnie illegalne. Mimo to, mimo zaszłej politycznej okupacji jagiellońskiej, ingerencja strzygońska nie ustaje, a w dyplomatarjuszach posiadamy ciekawe listy arcybiskupów Strzygońskich, posyłanych bezpośrednio i za pośrednictwem cesarzy i królów do Zygmunta Augusta i Zygmunta III. ze skargami na starostów i władze polskie na Spiżu z prośbą o obronę duchowieństwa spiskiego.

Sam akt zastawu Spiża dokonany został 1412 r. i objął 13 miast spiskich i krom tego Lubowlę, Podoliniec. Gniazdę, nieobjęte w odnośnym dokumencie podpisanym przez Zygmunta w Zagrzebiu bo snać — jak słusznie mniema historjograf M. O. — uważano je nie za zastawione a zwrócone Polsce. Od tej pory terytorjum to tworzyło prowincję polską z siedzibą starostwa w Lubowli. Najgłówniejsze zaś miasta królewskie — Keźmark i Lewocza wraz z 11 mniejszemi i z całem terytorjum południowem, oraz oazami, rozrzuconemi po polskiem terytorjum, tworzyły węgierski komitat spiski.

Na trzy lata przed pierwszym rozbiorem Polski, wojska cesarskie zaczęły powoli posuwać kordon węgierski ku północy, ku Dunajcowi i Pieninom, aż zajęły cały Spiż polski, ba, nawet Sandecczyznę. Motywowano tę okupację względami sanitarnemi, wobec powietrza morowego w Polsce, oraz bezpieczeństwa politycznego wobec ruchu konfederacji barskiej. Cały ten obszar przyłączono do Węgier, nie spodziewając się, że monarchji rakuskiej przypadnie za parę lat obszar znaczniejszy — Galicji. Toż gdy to nastąpiło i powstała potrzeba wykreślenia granic prowincjonalnych, między Galicją a Węgrami — prowincjami jednej i tej samej monarchji, powstał prawdziwy *embarras des richesses:* niewiedziano co począć z poprzednim nabytkiem m o r o w y m: czy go przyłączyć do Galicji, czy do Węgier?

A po wielu komisjach, Sandecczyznę pozostawiono jednej prowincji, Spiż — drugiej. Po odnośne szczegóły odsyłam czytelnika do pracy p. Czołowskiego, który odnośny epizod przedstawił bardzo dobrze i sumiennie, daleko lepiej, niż wcześniejsze z przed kilku wieków spory o granicę zachodnią z Łaskimi i Paloczajami, gdzie mglisto zarysowano — stosunki przynależności państwowej, a własności prywatnej.

Tyle co do państwowości i kościelnych stosunków z przeszłości Spiża.

Jak się on przedstawia etnograficznie, narodowościowo, językowo i wyznaniowo?

O epoce przedhistorycznej i przedchrześcijańskiej nie może być mowy na tem miejscu — wobec z jednej strony ubóstwa, z drugiej (zwłaszcza lingwistycznej) obfitości materjału, napraszającego się do wielorakich badań i hipotez w kierunku łączności z Chrobacją i jednolitości całego szczepu góralskiego, na Podhalu, w Pieninach i na Spiżu, stosunku jego najpierw do żywiołu celtyckiego, następnie germańskiego i uralo-ałtajskiego. Nie mniej ponętnemi są czasy pierwszych Arpadów i pierwszych Piastowiczów, falowanie partej przez tamtych ludności słowackiej ku północy, a zaś przez tych — ludności polskiej ku południowi, oraz forsowanie osadnictwa niemieckiego — przez jednych i drugich. Z czasów tych fluktuacji legenda ludowa zachowała jednaki na Spiżu, Podhalu i Pieninach charakter wspomnień o drogach handlowych, idei chrześcijańskiej pustelników i junactwa protoplastów Janosika. Takie legendy, jak o zbójcy Krudynhopie z maczugą pokuty jego pod Podolińcem pokazywaną, to znów budowanie kościołków zbójnickich pod Nowym Targiem i przekradanie tam obrazów spiskich i księży krakowskich i t. p. noszą ciekawą pleśni patinę średniowieczności, mieniącą się w licznych warjantach na przestrzeni od Łomnicy do Trzech Koron z jednej strony, a do Babiej góry z drugiej.

Analogiczna tożsamość zarówno motywów, fabuły legendowej przez wszystkie trzy terytorja góralskie przedstawia cykl ślicznych podań z epoki pierwszych napadów mongolsko-tatarskich, bodaj najjaśniejsze środkowe ogniwo z tego łańcucha epopei tatrzańskich, na których jednym końcu migoce król-Wąż, na drugim zaś Janosik. Historyczną osią opowieści — obrona przed Tatarami i następnie ucieczka przed nimi przez Spiż na Węgry Bolesława Wstydliwego i Św. Kunegundy; tudzież pomoc okazana przez Spiżaków (wójta podolinickiego), a poetycką — cudowna wędrówka Kingi wśród łez, kwiatów i siermięg chłopskich, tudzież czarodziejskie zaśnięcie rycerstwa Bolesławowego pod Babią Górą i Ornakiem w Kościeliskiem — tego rycerstwa, na którego przebudzenie się dotychczas lud czeka.

Zanim o tej epopei podamy wszelkie autentyczne jej warjanty w gwarze spiskiej, podhalskiej i pienińskiej, które opracowujemy, tymczasem odsyłamy czytelnika do trawestacji niektórych fragmentów u Szczęsnego Morawskiego w jego »Sandecczyźnie«.

(C. d. n.).

Zwyciężony.*)

Autor »Zwyciężonego«, p. Władysław Rabski, należy w Wielkopolsce do nielicznej garstki »młodych«, którzy tamtejsze, pomimo pokostu cywilizacji, nawpół barbarzyńskie stosunki usiłują przekształcić na modłę europejską, wyrwać społeczeństwo z krępujących naturalny jego rozwój pęt klerykalnego zacofania, sprowadzić z drogi zabójczej »polityki dworskiej«, rozbudzić w niem wiarę we własne siły i siły te zużytkować w kierunku odrodzenia narodowego.

Wychowaniec wszechnicy berlińskiej, gdzie uzyskał stopień doktora filozofji, obeznany z prądami zachodu, wybił się p. Rabski, wróciwszy do Poznania, na pierwsze pomiędzy »młodymi« stanowisko i jako naczelny redaktor postępowego »Przeglądu Poznańskiego« rozwinął niezmiernie doniosłą działalność publicystyczną. Świetny stylista, obdarzony niemałą werwą satyryczną, stał się »Sulla« — bo tak podpisuje on tygodniowy swój przegląd spraw poznańskich — prawdziwym biczem bożym dla ciemnoty i wyuzdanego sobkowstwa prowodyrów wielkopolskich.

Każde nieomal wystąpienie jego wywołuje z kryjówek rój wężów, zwracających jadowite żądła swoje przeciw niemu i przeciw ruchowi, którego jest przedstawicielem. Pomijając zwykłe wyzwiska, rzucane nań z łamów choćby takiego »Kurjera Poznańskiego«, nie wahali się wrogowie każdej zdrowszej myśli walczyć z p. Rabskim środkami wprost nieuczciwymi. Przypominamy nikczemny zarzut, że »Przegląd Poznański« jest na żołdzie komisji kolonizacyjnej, zarzut, który następnie sromotnie musiano odwołać.

Jak dotychczas »Sulla«, nie uległ i mamy nadzieję, że wytrwa na posterunku i nadal, pomny, że spełnia jedno z najważniejszych zadań obywatelskich, że działalność jego i jego towarzyszy będzie w historji zaboru pruskiego przepiękną stanowiła kartę.

Umysłowy ruch Wielkopolski, skazanej na straszne przeboje z coraz to groźniej napływającą falą germańską, ma przeważnie charakter polityczny. Około polityki wszystko tam się obraca ze szkodą idej społecznych, których prawie zupełny nastąpił w dzielnicy tej zanik. Manifestem politycznym jest i dramat p. Rabskiego, nie dziw więc, że główny »Zwyciężonego« pierwiastek wywołał onego czasu szaloną burzę dziennikarską. Organa klerykalno-zachowawcze nie posiadały się ze złości, że autor miał odwagę dotknąć jednej z najzgubniejszych bolączek tamtejszego życia, że odsłonił deprawację kasty, nie chcącej wypuścić z rąk tradycyjnego przewodnictwa, a z cynizmem zdrajcy dopuszczającej się zbrodni na mieniu ojczystem.

*) Zwyciężony. Dramat. Dr. Wł. Rabski. Poznań 1895.

W dzielnicach tak zagrożonych, jak Wielkopolska, nie ma własności prywatnej, którą każdy, posiadający kawał ziemi, rozporządzać może według swej woli: utrata każdej skiby pociąga tam szereg skutków za sobą, podcinających korzenie narodowego bytu, staje się więc, jeżeli już nie zdradą, to w każdym razie klęską nie jednostki, ale całego społeczeństwa. Sprawców takiej klęski ma społeczeństwo prawo stawiania przed swój trybunał, ma prawo żądania od nich jak najsurowszego rachunku, ma prawo piętnować ich jako swoich wrogów, a w pewnych okolicznościach zaprowadzić ich, jako zdrajców, pod pręgierz powszechnej pogardy.

Na takie stanowisko nie umieli się dotychczas wznieść zgangrenowani prowodyrowie wielkopolscy i stąd ta nieokiełzana wściekłość, jaka ich ogarnęła w chwili, gdy »Zwyciężony« pokazał ich nagość, gdy na deskach teatru poznańskiego usłyszeli wydobyte z kryjówki nadszarpanego sumienia swego cyniczne słowa: »Plama... skaza... ta egzaltacja jest rozpaczliwą. Cóż tobie szkodzi, że tam jakie piśmidło palnie sobie artykuł o kurczeniu ojczyzny. Społeczeństwo zbyt jest rozumne, by w myśl tych narodowych palaczy wtrącać się do prywatnych stosunków majątkowych. Warknie tam jeden i drugi, ale rzecz pójdzie w zapomnienie«. Rzecz jednak w zapomnienie nie poszła, bo kiedy przy szacherkach o znane galicyjskiemu ogółowi Mileszewy powtórzyły się niemal kubek w kubek sceny, nakreślone przedtem w dramacie p. Rabskiego, uczciwsze czasopisma poznańskie przypomniały smutną prawdę, zawartą w »Zwyciężonym«.

Nie wiemy, czy publiczność nasza będzie miała sposobność ujrzenia dramatu tego na scenie skarbkowskiej — przynajmniej dotychczasowa dyrekcja, która przez cały niemal ciąg swego »urzędowania« karmiła nas tandetą zagraniczną, nie mogła się zdobyć na to, ażeby go nam pokazać — stąd też pragniemy choć pokrótce zaznajomić czytelników naszych z jego treścią.

Tło: zbliżające się wybory do parlamentu. Kandydatem tzw. »partji dworskiej« jest hrabia Karol Warecki, »młody człowiek, który świetnie ukończył studja prawnicze, dobry mówca, filar naszych kółek agronomicznych«. Tak zaręczają jego zwolennicy.

Stronnictwo ludowe, którego najczynniejszym rzecznikiem jest redaktor postępowej »Trybuny«, dr. Zygmunt Wolski, nie myśli jednakże dąć w rozstrojone dudy banalnej, tak nędznie nadużywanej »solidarności narodowej« i własnego przeprowadzić chce człowieka. Potrzeba kontrkandydata tem większa, bo, jak z wielką znajomością stosunków wielkopolskich powiada bohater dramatu, »hrabia Karol dotychczas żadnych zasług około społeczeństwa nie położył«, bo »że z Heidelbergu przywiózł tytuł doktora *utriusque juris*, to chyba nie jest bohaterską zasługą«, bo »wie-

niec laurowy, zdobyty efektownym toastem, może w parlamencie zmienić się w dzwoneczki Poliszynela".

Kto zwycięży? Hrabia Karol, forytowany przez kanalję dziennikarską Ostrzyńskiego, czy Wisłowski, silne mający poparcie w »Trybunie« Wolskiego? »Wareccy i Ostrzyńscy z demoniczną zręcznością prowadzą agitację. Naszym bourgeois — mówi bezwzględny agitator demokratyczny, »fanatyk« Kostecki, imponują bibki w towarzystwie hrabiowskiem, a chłop tak głosuje, jak mu dziedzic każe«. Słaba więc nadzieja — nawet artykuły Trybuny, piętnujące senatorów-sprzedawczyków rozbijają się o cynizm kandydata partji dworskiej.

Wiadomo światu, że daleki krewny Wareckich, jak się wszystkim zdawało, poczciwy człowiek, Ruszczewski, nabywszy za odziedziczone po bracie pieniądze zaszargany majątek hr. Karola, sprzedał go komisji kolonizacyjnej. Hr. Karol zbyt jest sprytny, aby tego nie wyzyskać i na zgromadzeniu publicznem wkupuje się w łaski »narodu« płomiennem oświadczeniem, że »przystępowała doń pokusa w postaci złota kolonizacyjnego, ale milszą mu ziemia ojczysta, niż błyszczący kruszec«. Odrzucił więc świetne propozycje kolonizatorów i ze stratą oddał majątek w ręce rodaka, Ruszczewskiego, który jednak »zawiódł jego oczekiwania i zrzuciwszy maskę, stanął przed nim jako spekulant niegodny«. Tymczasem nieomal w przeddzień wyborów umiera stary Ruszczewski, a z testamentu, przekazanego Wolskiemu, okazuje się, że zmarły był naprawdę człowiekiem uczciwym, że honoru swego nie splamił, że w niegodnej tranzakcji z komisją był tylko podsuniętym przez Wareckich pionkiem. Szczegół ten znany jest widzom z dobrze nakreślonej sceny drugiego aktu; tajemnica Wareckich i shańbionego przez nich Ruszczewskiego, który dla wywdzięczenia się za przytułek zdobywa się na ściągnięcie takiej hańby na swoje nieskalane dotychczas nazwisko, pozostaje dla wszystkich innych osób dramatu tajemnicą. Odsłania ją w ostatnich scenach aktu trzeciego śmierć nieszczęśliwca, podając Wolskiemu i ludowcom broń decydującą.

Czy Wolski broni tej użyje? Nie! Bo redaktor demokratycznej »Trybuny« jest od kilku miesięcy zięciem i szwagrem hrabiów Wareckich. W żonie jego, Marcie, odepchniętej przez rodzinę za popełniony wbrew ojcu i bratu mezaljans, odzywa się »przeklęty bunt krwi«; kocha męża, ale nie rozumie jego ideałów, a już w żadnym razie nie pojmuje, aby dla ideałów tych wywlec na światło dzienne ohydę ojca i brata. Staje się Dalilą, ucinającą pukiel z głowy Wolskiego, i jeżeli na szali jego postanowień nie przeważy miłość do niej, to ją nachyli aż do zdrady przypomnienie mu względu na dziecko, którego matką właśnie się poczuła. I Wolski ulegnie — w scenie o silnem napięciu dramatycznem, scenie, z całego utworu może najlepszej: z rąk wypadną mu papiery, mogące odrazu przynieść zwycięstwo stronnictwu ludowemu, a uszczęśliwiona Marta chwyci je z ziemi i rzuci w płonący kominek.

Zbrodnicza w danym wypadku miłość żony i dziecka przemogła poczucie wielkiego obowiązku społecznego. Głupi tłum wrzeszczy na całe gardło hymn na cześć zwycięzkiego szuji Wareckiego, a dwaj oddani uczciwej sprawie ludowcy, Wisłowski i Kostecki, którym wiadomy postępek redaktora »Trybuny«, rzuciwszy mu w oczy miano zdrajcy, usuwają go z dotychczasowej pozycji.

Cóż Wolskiemu pozostaje? Miłość żony i dziecka i łaskawe uznanie Wareckich, dziękujących mu serdecznie i przyjmujących go do grona rodziny. »Marta doniosła nam wczoraj, że ocaliłeś nazwisko Wareckich przed szykanami ulicznej gawiedzi« — powiada hrabiowski jego teść. — Wiem, że sprzedaż Karłowic była niekoniecznie stosowną, ale zrozumiesz pan, że tylko fatalna presja stosunków popchnęła nas w ramiona kolonizacji, a wobec opinji, która nie z motywami, lecz z faktem tylko się liczy, zdecydował się nieboszczyk Ruszczewski odegrać rolę parawanu. Kandydatura Karola zawisła od tej niewinnej symulacji a twojej uczciwej dyskrecji, mój zięciu, zawdzięczamy zwycięstwo«.

Ale Wolski, jakkolwiek słabym jest człowiekiem, nie upadł jeszcze do tego stopnia, ażeby tego rodzaju bezczelny cynizm, w hrabiowskiej skąpany łaskawości, przemówił do jego duszy, ażeby zabił wyrzuty sumienia, wygnał zeń wstyd i za cenę tego wstydu pozwolił mu arystokratycznego używać zięciostwa — choćby nawet przy boku kochanej bądź co bądź żony i z perspektywą pieszczot mającego przyjść na świat dziecięcia. »O nie, panie teściu! Jam dzisiaj zdrowszy, niż kiedykolwiek. Gwebrem jestem, który się modli do nowego słońca i śpiewa, śpiewa, aż się piekło śmieje!... O bo też to dzień wesela i szczęścia, bo mi tak spieszno na ojcowskie łono Wareckich, że w piersiach dech mi zamiera. Ha! to ci sojusz! Brud z brudem, trzy cyfry potężne i ten ułamek niewieści!... Tak być musi... Tyś łańcuch twardy — mówi do żony, — co w ciało się wpija i o ziemię wali.. Tyś żywe grzechu wspomnienie. Idź! mażę błąd życia... Dziecko! tak to boli... A jednak inaczej być nie może... Niechaj w otchłań nie patrzy, która nas dzieli na zawsze; a jeśli kiedyś się spyta o ojca, powiedz mu, żem umarł... Dość! zdradziłem lud!«... I z temi słowy wybiega w świat — czy pokutować za słabość swoją? — a wybiega, przeciskając się, przez ciżbę zdradzonego przezeń ludu, który w naiwności swojej rozdziera się w okrzyku: »górą Warecki«!

Oto szkielet dramatu, nakreślonego z niewątpliwym talentem — dramatu, który daje nietylko dobrą ilustrację nad wyraz smutnych stosunków wielkopolskich, ale posiada szereg po-

staci, pod względem psychologicznym przeważnie dobrze przeprowadzonych. Wdawać się w ich rozbiór zabrania nam brak miejsca. Nie podobna się jednak powstrzymać od odpowiedzi na jedno na tarczywie nasuwające się pytanie: Czy bohater utworu, Wolski, posiada cechy, zdolne obudzić sympatję ku niemu? Niema wątpliwości, że jest w naturze jego tragizm, który nie pozwala nam go odepchąć od siebie, jako człowieka. Natomiast od takich działaczy politycznych broń nas Boże! To nie cios marmuru, ale bryła lepkiej gliny; frazesowicz, zdolny do rozważania choćby tego, że gdy papiery spłoną i brat jego żony zwycięży, to Wisłowski, człowiek ambitny i bezwzględny, »całemu światu hańbę jego rozkrzyczy«. Jeden z ludowców, Kostecki, ma rację, zarzucając mu sentymentalizm. Trudno nie zrozumieć walki, jaką w nim stoczyła zwycięzka miłość z poczuciem obowiązku społecznego, walka ta stanowi też konflikt tutaj, bez którego Wolski nie byłby postacią tragiczną; tego jednak Kosteccy i Wisłowscy mają prawo wymagać od działaczy, stających na czele mas, aby »Irydjon i Psalmy nie były ideałem ich polityki«, choćby dlatego, że wrzekomi wielbiciele twórcy Irydjona i tych Psalmów bynajmniej w polityce swojej ideałom tym nie hołdują i dlatego zarzynają ślamazarnych przeciwników swoich »jak kurczęta«.

Tacy Wolscy już choćby dlatego nie nadają się na przywódców mas, że w naturze swojej mieszczą pierwiastki, które czynią ich zdolnymi do nawiązywania stosunków z rodzinami Wareckich. Die Liebe ist blind — sie fällt manchmal auf ein Rosenblätchen und manchmal in den Kuhmist — powiada drastycznie przysłowie niemieckie; wszystko to prawda, ale bohaterowie, pragnący walczyć dla idei, a nie umiejący z góry zapobiedz podobnemu przypadkowi, mogą się nadawać na bohaterów scenicznych, nigdy jednak na deskach społecznego życia dodatniej nie odegrają roli.

Dzisiejszy człowiek czynu, jakim chce być Wolski, powinien z góry wiedzieć, że takie Marty muszą z natury rzeczy wpić się w ich ciało twardym łańcuchem i powalić ich o ziemię, to też gdyby nawet ich serce zapaliło się do jakiejś Wareckiej, powinni w sobie na tyle znaleść siły, ażeby ogień ten zdusić. Bo dość jeszcze upłynie wody, zanim Wareccy przestaną być Wareckimi, zanim sami i ostatecznie gdzieś w najskrytszym kąciku duszy ich córki przestaną uważać, że łaskę czynią Wolskim, przyjmując ich w swoje progi, łaskę, obowiązującą obdarzonych nią do zaprzaństwa.

Te kilka uwag przytoczyliśmy dlatego, ponieważ w Wielkopolsce, gdzie wciąż jeszcze szlachcic uważanym bywa za coś lepszego, gdzie tak zwana »wyższa inteligencja« (!) pcha się do sfer »ziemiańskich«, niejeden znajduje się Wolski, którywy w regeneracyjnym ruchu tamtejszym wiele, bardzo wiele mógł zrobić, gdyby nie nieszczęśliwy, próżności ludzkiej schlebiający pociąg do hrabianek Mart.

Z tem wszystkiem jednak, wróciwszy jeszcze do postaci naszego bohatera — redaktor, »Trybuny« jest pod względem psychologicznym kreacją całkowicie udaną.

Język dramatu p. Rabskiego jest piękny, nieraz jednak zbyt wyszukany, zbyt kwiecisty, rażący w utworze dramatycznym, który tem większe wywiera wrażenie, im prościej, im naturalniej przemawiają działające w nim osoby. Ta kwiecistość przeszkadza zwłaszcza w scenach pomiędzy Wolskim a Martą — bezpośredni wylew uczucia nie zna retorycznych arabesek.

Czy utwór jest sceniczny? Nie widząc dramatu na scenie, trudno to osądzić, zdaje się jednak, że »Zwyciężony« musi robić wrażenie i na widzach, w czytaniu przeważna część ustępów mocno napina uwagę.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga: najemne pisarki konserwatystów poznańskich okrzyczeli utwór p. Rabskiego za pamflet na szlachtę. To kłamstwo! jest w »Zwyciężonym« kilka postaci szlacheckich, nawskróś uczciwych; jeżeli kto, to ludowcy mogliby mieć żal do autora, że takiego, jak Wolski, dał im prowodyra.

Jan Kasprowicz.

DROGI DÓŁ.

(Z cyklu poezji prozą: Łzy i uśmiechy).

[Ciąg dalszy].

— Masz tu w chustce rubla... to starczy na pogrzeb... może...

— At! syknęła zła kobieta.

— No... toć i bez trumny można... — szepnął chory, wyciągając chude ręce i nogi, — ileż dół kosztuje... teraz?

— Rubla kosztuje! — wybuchnęła pół z gniewem, pół z płaczem.

— Drogo... zawołaj do mnie grabarza...

Nad wieczorem cmentarny chłop przyszedł.

— Ile? – zapytał wprost Hryńko.

— Taki rubla... nie mogę obstąć inaczej... cztery godziny i to mało kopania, ziemia jak głaz...

Chory machnął ręką.

— Ej, gospodarzu, żyjcie, złe minie, chorobę licho weźmie... jeszcze na robotę pójdziecie...

Przymknięte oczy, sina bladość rąk, żółte smugi na licu, zastanowiły starego znawcę śmierci.

— Taniej nie mogę... — westchnął — oh! co za bieda na świecie! Wczoraj dwóch chowałem...

każdy tak dał... sześcioro u mnie niedorosłych... dwoje zgrzybiałych... a ja dziewiąta gęba do miski... a tu niema co! Ja tam niewiele potrzebuję... jak się ludzkich łez i narzekania nasłucham w dzień, to do jadła nie chce się iść, choć głód pcha... gorzej dziś po tej stronie, niż tam... Ale... Pożyjcie wy jeszcze, Hryńku... na wiosnę i śmierć stanieje... Chłopaka nie zostawiajcie w zły czas...

Poszedł, ale w duszę chorego rzucił talizman silnego zaklęcia, poruszył czułą strunę miłości rodzicielskiej, i dobry Hryńko, od bram wieczności, od wyzwolenia z cierpień, siłą - mocą wrócił się jeszcze, żeby tego chłopczyny, żeby tej kobiety nie zostawiać samych w ciężki czas... z wydatkami nowymi... Gorzki uśmiech przeszedł mu przez usta:

Kudy pidu — powernusia!...

Jak będzie cieplej... no, to sobie chłopak da radę.. pójdzie na robotę... dwanaście lat ma i sprytny... nie zginie... tylko, że jedno oko... lecz już do wojska nie wezmą... jakoś mu będzie...

Tymczasem Marta zaczęła więcej dbać o męża... przynosiła mu mleko ciepłe, kaszę, nawet jakiś cienki rosół się znalazł, nie było widać tak źle, jak groziły dzikie oczy kozaczki. Słońce zwyciężyło wreszcie bałamutną wiosnę, rzuciło snopy promieni, wyciągnęło parę z roli, z lasów, z wąwozów, puścił się deszcz gęsty, ciepły, tygodniowy prawie; reszty śniegów znikły, a ziemia wystąpiła czarna, miękka, miejscami zielona; zabielały, zaróżowiły się gałązki po sadach, świat cały wyciągnął się wygodnie po długiej zimie, utrapionej wiośnie i wracał do swoich praw przyrodzonych.

Z sąsiedniej izby doszło Hryńka dawno niesłyszane stukanie i skrzypienie... to Marta uwijała się w nowych butach, strojąc się na nabożeństwo niedzielne...

— Ha... — pomyślał — mogę i ja zabierać się w drogę...

Czuł się jednak, jak na złość, nieco lepiej. Wsparty na łokciu patrzył przez okienko... Wierzba przy drodze miała bazie... jaskółki uganiały się w powietrzu... słońce oświetlało cmentarz po drugiej stronie drogi, widny cały jak na dłoni... Co tam ich przybyło! Istotnie, kilkanaście mogił jeszcze wysokich żółciło się między zieleniejącymi krzakami bzu i jarzębiny.

— Może choć teraz! — westchnął chory, łapiąc dech z trudnością.

Po drodze szła niewiasta, niosła duży kosz na ręku, szła lekka, świeża od wiatru, rozgrzana majowem ciepłem, czarne kosmyki kręte leżały nad czołem, hoża była i pewna siebie.

— Zawsze kraśna, — pomyślał Hryńko — znajdzie.. czwartego...

Usłyszał głosy na gościńcu, podniósł się na łokciu i słuchał.

— A co tam? Hryńko? — pytał grabarz z za cmentarnego rowu.

— Ta.. żyje.. stęka...

— Niech-ta żyje... bidneńki . dziś, tobym i za pół rubla pochował... ale niech-ta żyje... takiego już nie znajdziecie!

— Ouwa! — rzekła kobieta niedbale i wdała się w rozhowory z trzema kobietami, które nadeszły. Ten jej okrzyk chłodny a lekceważący, znudzony a niecierpliwy, uderzył Hryńka w piersi gwałtownie, stanowczo, jak postrzał nowy, no, ostatni.. Żal mu się uczyniło miłości, pracy, trudów, tej chaty, kawała życia, tego ziemi kawałka dziedzicznego, wszystkiego, co jej dał... a ona... jak ta wiosna zawodna, niedająca ciepła ani pociechy, sucha i twarda, nie miała dla niego nic... dla głodu jego dobrej duszy nie było w jej sercu urodzaju żadnego, nie było jednej kropli ożywczej rosy, jednego ziarnka uczucia! Jak od bram wieczności, tak od tego serca cofnąć się musiał z goryczą i zawodem:

Kudy pidu... powernusią... oh!

Zaszumiało mu w uszach, ściemniło się w oczach... drgnął na całem ciele i zasłuchał się mimowoli w nieznanych szmerach i usypiającym rytmie..

Smutny idu... ne wesełyj... bidnyj czołowik...

Przez okienko bez szyb, przez czysty przestwór niebios, ulatywała dusza chłopska, rozżalona, bolejąca, lecz już swobodna, ku dalekim, lepszym krainom, kędy niema ciężkich zim, zdradliwych wiosen, drożyzny życia i targów o śmierć...

Nim się Marta nagadała z kumoszkami, nim chłopak wrócił z cerkwi, martwy biedaczysko zastygł już zupełnie i stał się księżycowo białym, z twarzą zwróconą ku oknu, skąd go dobiły doświadczenia życiowe.

Mały Hryńko, jak zwykle, leciał najpierw do ojca; i teraz wpadł i wrzasnął na całe gardło, jakby życie swe dziecinne wkładał i oddawał w ten jeden okrzyk rozpaczy:

— Ojciec!

Przyleciała Marta i stanęła niema nad umarłym. Coś się w jej duszy samolubnej ruszyło, ocknęło, nie udawała tym razem płaczu i wyrzekań, jeno stała i jakaś wewnętrzna zgryzota, czy wstyd, czy wyrzut zaniepokoił jej jałowe sumienie. Spojrzała przez okienko, na drogę; stary grabarz, siedząc na kamieniu u wrót cmentarzyka, rozmawiał z jakąś wieśniaczką... słyszała co mówili, każde słowo... wpadło jej do głowy, że i ten... tu... słyszał... to, co ona tam... mówiła... rano, i już oto nie żył! Tymczasem, dzieciak leżał na piersiach ojca i szlochał, zawodził, tonął we łzach. Chciała go podnieść, ale się nie dał:

— Zostawcie nas razem... my zawsze razem byli.. razem!

W głosie chłopaka dźwięczał wyraźnie głęboki zarzut i jakaś duma dziecinnej miłości.

Na drugi dzień pochowano Hryńka. Dół przecież kosztował rubla, bo wczoraj stary cmentarnik dobrze widział nowiusieńkie buty Marty, które na jarmarku w Krzykliwcu kupiła za cztery ruble, więc się uparł przy swojem i dowodził w duszy swej tak: — »Jeśli ty możesz sobie wesoło chodzić po świecie za cztery ruble, to on może, biedak, w ziemi leżeć choć za rubla«. — Wstyd było Marcie przy ludziach się targować, bo wszyscy jakoś więcej żałowali nieboszczyka, niż jej, a nawet grabarz szepnął jej po pogrzebie z szyderczą niechęcią:

— A żebyś mi tu z czwartym nie przychodziła! Wiesz, co się dzieje, jak czwarty mąż umrze? ha?

Odwróciła się gniewnie, ale inne kobiety już słuchały ciekawie.

— Strach! bo to tak; pierwszy po śmierci, przychodzi w nocy i przez sen całuje. Drugi, staje nad śpiącą i płacze, a łzy lecą zimne i ciężkie, jak lód... Trzeci... — ciągnął dziad, wpatrując się w Martę — trzeci nachyla się nad łożem i jęczy, narzeka i prosi: »pójdź do mnie, pójdź za mną«, aż się kobieta w przerażeniu zbudzi; a czwarty!

— Ojojoj! — wzdrygnęły się niewiasty.

— Czwarty — raz tylko przyjdzie, martwą ręką za gardło uchwyci i bierze, jak swoją, na tamten świat!

Pierzchnęły zabobonne kozaczki, uprowadzając Martę, która znów obżałowana na wsze strony, jęła się teraz odnawiania chaty.

(Dok nast.). *Szczęsna.*

Walka o naukę religji w szkołach londyńskich.

(Dokończenie.)

Rezolucja subkomitetu, przedłożona 25. stycznia 1894 na ogólnem zgromadzeniu School-Boardu, wywołała w kołach liberalnych niezmierne rozgoryczenie: zaczęto protestować przeciw »terroryzmowi« katolików, którzy ze swej strony nazwali liberałów wrogami chrześcijaństwa, a do protestu przyłączyła się przeważna część dzienników, oraz 3000 nauczycieli londyńskich, którzy wnieśli petycję, żądając w niej cofnięcia inkryminowanego cyrkularza, lub zwolnienia ich od obowiązku wykładania religji.

Gdy na ponownem zebraniu Rady, odbytem 10. maja tegoż roku, jeden z liberalnych jej członków postawił formalny wniosek, aby rozporządzenie, przeparte większością katolicką cofnąć, a na uzasadnienie swego wniosku powyższą przedłożył petycję, stronnicy Riley'a gwałtowną wszczęli burzę, zarzucając Stanlejczykom, że nauczyciele działali pod ich przymusem i że ich, katolików, obowiązkiem zwalczać tę tyranję. Ostatecznie po długich, a zapalczywych obradach uchwalono zawarte w petycji żądanie ciała nauczycielskiego co do uwolnienia go od nauczania religji odrzucić, a uwzględnić tylko prośby poszczególnych jego członków.

Stowarzyszenie nauczycieli, reprezentujące cały londyński stan nauczycielski, niezadowolone z tej uchwały, zeszło się na zgromadzenie, na którem po namiętnych, przeciw uchwale School-Boardu'u skierowanych rozprawach postanowiono, powołując się na ustawę z r. 1871, gwarantującą nauczycielom wolność sumienia, wezwać raz jeszcze School-Board do cofnięcia cyrkularza. Spowodowało to ponowną walkę, rozgrywającą się głównie po dziennikach.

Tymczasem w łonie School-Boardu zajmowano się ważną bardzo kwestją — oznaczenia dnia, w którym wskutek upływającego właśnie trzechlecia miały się nowe do Rady szkolnej odbyć wybory. Pragnąc jak najpowszechniejszego w wyborach tych udziału, zaproponowali liberalni członkowie School-Boardu sobotę d. 17. listopada, jako dzień, w którym robotnicy zaprzestają pracy już od południa; Diggleici natomiast, w zwycięskiej będący większości, oznaczają dzień 22. listop. Wniosek ich naturalnie przechodzi; zwolennicy Stanleya i Copelanda Bowie czynią nową próbę cofnięcia cyrkularza, Diggleici nie chcą się jednak w żadne wdawać kompromisy. Walka, tym razem jeszcze zapalczywsza, wybucha ponownie: Diggleici powołują się na świętość religji, której, ich zdaniem, grozi ze strony liberałów wielkie niebezpieczeństwo; Stanlejczycy zaś oświadczają, że i nadal stać będą na stanowisku ustawy z r. 1871, gwarantuje ona bowiem swobodę wszystkim wyznaniom, a właśnie interes religji i moralności wymaga jak najściślejszego przestrzegania jej rozporządzeń.

Nie dość Diggleitów i Stanlejczyków, nazywających siebie progresistami; tworzy się jeszcze trzecie stronnictwo tak zwanych sekularystów, którzy domagają się wyłącznie świeckiego wychowania, a rozumują w ten sposób: „Nie chcemy kompromisu. Stronnictwa chrześcijańskie spiknęły się przeciw nam, tworząc ustawę z r. 1871, ale my jej, pomimo »klauzuli sumienia«, przyjąć nie możemy, bo rzuca nas na pastwę nietolerancji wyznaniowców, tak jak onego czasu żółte jarmułki wystawiały żydów na prześladowanie chrześcijan. Usunąć trzeba klauzulę, bo to broń, przeciw nam ukuta. Nie można obracać podatków na utrzymywanie szkół, w których nauczają religji, będącej sprawą czysto pry-

watną; szkoła ma być tylko rozsadnikiem wiedzy, bo ta jedynie ma cechę powszechności.

»Wyrywając dzieciom religję z serca, obdzieramy je z najdroższego dobra« — wołają Digleici. »Nauczajcie sobie w kościołach swoich, czego chcecie, ale nie w szkołach, do których wszystkie dzieci mają przystęp« — krzyczą progresiści. A sekularyści dowodzą, że z usunięcia religji wielkie dla ludzkości wynikną korzyści: będzie mniej niezgody pomiędzy ludźmi, a więcej poszanowania dla opinji, więcej liczenia się z własnem sumieniem«.

Śród takich walk zawziętych nadszedł dzień wyborów. Zwyciężyły stronnictwa liberalne: progresiści uzyskali głosów 798.203, sekularyści 72.074, klerykali zaś 721.175. Pomimo to jednak dzięki szczególniejszym stosunkom w miejskim zarządzie Londynu oraz pewnej »geometrji« co do okręgów wyborczych, stronnictwo klerykalne uzyskało w School-Board'zie większość, na 55 krzeseł posiadło ono bowiem 29.

Walka dotychczas nie rozstrzygnięta: klerykali, zdaje się, nie zechcą inkryminowanej uchwały swej podtrzymywać, wiedząc, że Stanlejczycy wraz z sekularystami rozporządzają znacznie większą liczbą głosów pomiędzy ludnością (około 150.000), a walka skończy się prawdopodobnie tem, że nauka religji zostanie z szkół publicznych zupełnie wykluczoną.

Przegląd pism.

„Przegląd pedagogiczny„ pismo dwutygodniowe Nr. 1—5 Warszawa 1896.

Wydawnictwa i pisma pedagogiczne są zazwyczaj związane z wymaganiami szkoły, mniej lub więcej niewolniczo jej służą, zajmują się jej krytyką, albo bronią przed zarzutami społeczeństwa, a zawsze jest ona dla nich punktem dośrodkowym. Inaczej rzecz się ma z warszawskim „Przegl. pedag.“, który celom szkoły służyć nie może, bo on dla niej, a ona dla niego jest obcą, w krytykę szkoły pod karą utraty istnienia wdawać się mu nie wolno, musi się więc ograniczyć do zadań odmiennych od tych, jakie mają tego rodzaju pisma niemieckie, francuskie, a poniekąd i galicyjskie. Stąd też i dla tego nawet znaczenie jego w tych warunkach, w jakich wychodzi, bardzo doniosłe. „Przegląd“ zajmuje się pedagogją domową: omawia dokładnie stosunki nauczycieli prywatnych, ima się na własną rękę tych badań, które gdzieindziej państwo podejmuje samo, krótko mówiąc, przychodzi z możliwie najszczerszą pomocą temu działowi pracy społecznej, jakim jest pedagogja, spełnia zadania takie, jakich nie potrzebują spełniać pisma, istniejące wśród społeczeństw, które same sobie utrzymują szkoły i sprawują nad niemi kontrolę. Takim jest »Przegląd« od lat wielu, takim w nrach, które leżą przed nami. Na wstępie (nr. 1.) spotykamy tu artykuł o »wydawnictwach gwiazdkowych« z r. 1896 a posypała się ich wtedy moc, z tych ledwie połowa zyskała uznanie »Przeglądu«, który ostro występuje przeciw skrajnemu sentymentalizmowi w książkach dla dzieci, choć gniewa go i przeciwna skrajność.

Kilkakrotnie poruszono tu sprawę uwzględnienia wychowania w wystawie hygienicznej warszawskiej; interesującym jest artykuł o położeniu nauczycielek prywatnych: autor domaga się, aby nauczycielka była tylko nauczycielką w domu i aby nie obarczano jej innemi zajęciami.

Pióra Wł. Kozłowskiego jest odpowiedź na pytanie: jak odżywiamy nasze dzieci? cyfrowy wynik własnych spostrzeżeń autora, dokonanych na 120 dzieciach, różnych warstw; rozpoczęto wreszcie rozprawę, opartą na szerokiej podstawie socjologicznej, p. t. »Stowarzyszenie matek« której, gdy będzie skończoną, nie omieszkamy poświęcić kilku uwag. Z prac, omawiających zagraniczny ruch pedagogiczny, wymieniamy sprawozdawczy artykuł Ant. Potockiego o paryskiej *Ecole des sciences politiques*, założonej ćwierć wieku temu przez E. Boutmy'ego, dalej rzecz o towarzystwach amerykańskich samokształcenia, znanych p. n. *Chatauqua*, sprawozdanie z dzieła, dr. T. Zieglera (prof. filozof. i pedag.) z Strassburga p. t. »der deutsche Student am Ende des XIX. Jhtes, dzieła znanego publiczności galicyjskiej z treściwej oceny Z. Pazdry, drukowanej w »Czasopiśmie akademickiem« za r. 1895, wreszcie rys zapatrywań H. Spencera na »pochodzenie« zawodu nauczycielskiego. Kończą każdy numer luźne kartki, złożone z drobnych notat pedagogicznych. W dodatku pomieszcza »Przegląd« »metodyczny kurs nauk« już dla 5. i 6, roku nauki, gdzie opracowano arytmetykę, geografję, nauki przyrodnicze, rysunki oraz języki: polski, łaciński i niemiecki. Z opracowań tych mogliby z korzyścią czerpać autorowie podręczników dla szkół galicyjskich, zapatrzeni dotąd jedynie na wydawnictwa niemieckie. Drugim nader cennym dodatkiem »Przeglądu« są wykłady samokształcenia, któremi zajmowano się tu niejednokrotnie i gruntownie.

Biologję opracowuje dr. M. Flaum, fizykę Wł. Połkotycki, filozofję Wł. M. Kozłowski, wreszcie psychologję sam redaktor pisma J. Wł. Dawid, znany z szeregu dzieł psychologiczno-pedagogicznych, żeby tylko wspomnieć o »Zarazie moralnej« lub o »Zasobie umysłowym dziecka«.

Jakie dodatki te mają znaczenie dla społeczeństwa polskiego w Królestwie, wynika jasno z tego, co się powiedziało na wstępie.

J. A. Sierpniak.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.